Rok III. Katowice, Niedziela, 2-go Października 1904 r. Nr. 39

Rodzina chrześciańska

Pisemko poświęcone sprawom religijnym, nauce i zabawie.

Wychodzi raz na tydzień w Niedzielę.

Bezpłatny dodatek do „Górnoślązaka" i „Straży nad Odrą".

Na Niedzielę XIX po Zielonych Świątkach

Ewangelia u św. Mateusza,

w rozdziale XXII.

W on czas: Mówił Jezus przełożonym Kapłańskim i Faryzeuszom w przypowieściach powiadając: Podobne się stało Królestwo niebieskie człowiekowi Królowi, który sprawił gody małżeńskie synowi swojemu. I posłał sługi swoje wzywać zaproszonych na gody, a nie chcieli przyjść. Znów posłał insze sługi, mówiąc: Powiedzcie zaproszonym: Otom obiad mój nagotował: woły moje i karmne rzeczy są pobite, i wszystko gotowe, pójdźcie na gody. A oni zaniedbali, i odeszli, jeden do wsi swojej, a drugi do kupiectwa swego: a inni pojmali sługi jego, i zelżywość im uczyniwszy, pobili. A usłyszawszy Król rozgniewał się, i posławszy wojska swe wytracił owych mężobójców, i miasto ich spalił. Tedy rzekł służebnikom swoim: Godyć są gotowe, lecz zaproszeni nie byli godnymi. A przeto idźcie na rozstania dróg, a którychkolwiek nadziejcie, weźmijcie na gody. I wyszedłszy sługi jego na drogi zebrali wszystkich, których znaleźli, złych i dobrych, i napełnione są gody siedzącymi. A wszedłszy Król, aby oglądał siedzące, obaczył tam człowieka nie odzianego szatą godową. I rzekł mu: Przyjacielu! jakoś tu wszedł, nie mając szaty godowej? A on zamilkł. Tedy rzekł Król sługom: Związżcie ręce i nogi jego, wrzućcie go w ciemności zewnętrzne: tam będzie płacz i zgrzytanie zębów. Albowiem wielu jest wezwanych, lecz mało wybranych.

Z kraju tysiąca jezior.

(Z podróży i przechadzek po Finlandyi.)

Skreślił Stanisław Bełza.

(Ciąg dalszy.)

Był wieczór pogodny i cichy, kiedy po zwiedzeniu Kuopio i okolicy wsiadaliśmy na statek parowy idący do Willmanstrandu.

Statek szedł z Iisalmi, gdzie się jezioro Sajma kończy i dokąd rzadki tylko turysta zagląda, więc prócz kapitana okrętowego, jednej rodziny mieszczańskiej z Kaajani, kilku majtków i obsługujących restauracyę dziewcząt, na pokładzie swoim nie posiadał nikogo.

Byłem więc w otoczeniu zupełnie fińskiem, a że prócz kapitana, mówiącego nieźle po angielsku, ale zajętego bardzo prześlizgiwaniem się między skalistemi wyspami, nikt żadnego ze znanych mi języków nie rozumiał, przeto gdy po zwróceniu się do któregoś z współpasażerów spotkałem się z odpowiedzą: svenska, finska, co znaczyło, że prócz szwedzkiego i fińskiego wszystkie inne języki świata były mu obcemi, zamknąłem się sam w sobie, i oparty o baryerę statku spoglądałem w zadrzewioną na wodzie i dokoła wody dal.

A patrzyłem w nią z zajęciem wielkiem, choć nie obcą mi już była, słońce bowiem dokuczające nam bez miłosierdzia przez dzień cały, chyliło się ku zachodowi.

Miałem więc przed sobą igraszkę światła, jakiej nie widziałem dotąd jeszcze, igraszkę z wodą, skałami i zalegającym, jak szeroki i długi widnokrąg ziemny, borem.

Statek płynął, a raczej przemykał się, jak zręczna tanecznica, między wysepkami tamującemi mu raz po raz przejście, słońce stało i wyrzucało ze swojej tarczy czerwone snopy światła. To je przesuwało lękliwie przez zielone gałęzie drzew zagajników, to ozłacało niemi ponure zęby wyszczerzonych z fal, niby paszczęki brylantów, skał, to wreszcie łagodnie kładło je na wodzie, środkiem której mknęła łódź nasza, ozłacana od czasu do czasu jego odblaskiem.

Wreszcie raz się kryjąc, to znowu nam ukazując, to wychodząc, to ginąc w cichej jeziora płaszczyźnie, jak gdyby nieznużone dzienną służbą światu, jak gdyby nie żądne nocnego spoczynku jeszcze, uniosło się w całej wspaniałości ku górze, morzem czerwieni olśniło nasz wzrok... i zgasło.

Otworzyłem »Kalevalę« w ładnym przekładzie angielskim Eivinda znajdującą się w moim ręku (»Finnish Legends« Londyn, 1893 r.) i rozkołysany do marzeń, bujającym się jak gdyby kolebka statkiem, odczytałem jednym tchem taką legendę:

Lat temu wiele Lempo porodziła syna.

Dano mu imię Lemminkajnen.

Młodzieniec wzrastał wśród wysp na jeziorze, wreszcie stał się dzielnym mężczyzną, pięknym na oko i uzdolnionym w sztukach magicznych.

Żyła wtedy na dalekiej północy śliczna dziewczyna, którą nazywano Kyllikki.

Była ona tak ponętną, że raz słońce poprosiło o jej rękę dla swego syna, ale niestety spotkało się z odmową.

Wtedy księżyc zwrócił się do niej o to samo, po księżycu przyszła gwiazda wieczorna, ale Kyllikki obu im odpowiedziała, żoną synów ich być nie chce. Podobnyż los stał się udziałem mnóstwa innych zalotników z całego świata.

Wtedy Lemminkajnen postanowił bądź co bądź ją posiąść, wbrew radom i uwagom swojej matki.

Twierdziła ona, że Kyllikki do zdobycia nie jest łatwą; że on jest biedny i nikomu nieznany; że gdy niebacznie wyciągnie po nią rękę, spotka się z szyderstwem wszystkich w jej kraju, a może i z czemś od szyderstwa jeszcze gorszem.

Ale to było grochem na ścianę.

Pojechał, lecz gdy go zajeżdżającego przed Kyllikki wrota ujrzały znajdujące się tam kobiety i dziewice, przyjęły go wybuchami głośnego śmiechu, co go tak rozdrażniło, że rozpędziwszy swoje konie, roztrzaskał sanie o drewniany parkan i sam wpadł w śnieg.

Kiedy powstał, gorycz i wstyd przepełniały jego serce. Przyjął przecież ofiarowane sobie zajęcie pastucha i jako pastuch spędzał dni całe w górach.

Wieczorem oddawał się tańcom, czem tak ujął wszystkie kobiety, że przestały się z niego śmiać, i zaczęły go bardzo cenić. Tylko Kyllikki patrzeć na niego nie chciała, i dała mu nawet radę, aby coprędzej odjechał do domu, gdyż żoną jego nie będzie nigdy.

Ale Lemminkajnen nie usłuchał.

Raz gdy dziewczęta zajęte były tańcem, a między niemi znajdowała się Kyllikki, zajechał on z po za pagórków niespodziewanie, schwycił ją do swoich sani i jak piorun ledwo się pokazał, zniknął.

Opuszczamy dalszy ciąg legendy, opowiadającej jak Kyllikki prosiła Lemminkajnena, by ją piechotą puścił do jej rodziców, jak ją uspokajał i uspokoił wreszcie z trudem wielkim, ale koniec baśni sam się nam pod pióro wprasza.

Gdy zajechali przed chatkę matki, ta zapytała, jakim sposobem syn jej skarb swój posiadł.

— Odpłaciłem wcale nieźle — odpowiedział — za szyderstwa, z jakiemi spotkałem się na północy, najpiękniejszą bowiem z jej dziewic przywiozłem w moich saniach. Droga matko, przygotuj dla nas najlepsze pomieszczenie, by moja żona czuła się tu szczęśliwą.

Na to odrzekła mu matka.

— Niechaj będzie pochwaloną wielka Ukko, że obdarowała mnie córką. Niechaj będzie pochwaloną, że pozwoliła synowi mojemu zdobyć tę cudowną dziewicę, zaszczyt północy całej, jest bo ona czystszą od śniegu, wdzięczniejszą od łabędzia i piękniejszą od wszystkich na świecie gwiazd.

. . . .

Kalevala powstała przed lat tysiącem, przed lat tysiącem powstała baśń o Kyllikki. Ale kiedy płynąc z powrotem tem jeziorem, zastanawiałem się nad losami języka fińskiego, między tą baśnią i tym językiem odnalazłem pewien duchowy związek.

Jak Kyllikki śliczna jak marzenie, ukrytą była w gęstych borach północy, tak język ten dźwięczny jak mało który, chronił się odepchnięty od zachodu pod strzechami mało dostępnych ludowych chat.

Lemminkajnen wyprawił się po Kylliki, grono ludzi czynu zapragnęło wyrwać ten język z ukrycia, jego spotkał śmiech wszystkich kobiet i dziewic z jej otoczenia, ich szyderstwa głośne partyi szwedzkiej w całej Finlandyi.

Ale i on i oni wyszli z zapasów swoich zwycięsko. On dał rodzicielce swojej piękną synowę, oni matce-Finlandyi język bogaty i melodyjny, do wypowiadania delikatnych uczuć zdolny, naginający się do poezyi przedziwnie.

Wreszcie jeśli zobaczymy, co z tym językiem niedawno niemal odkrytym, zrobili dziś pisarze finlandzcy, jak go nagięli do potrzeb nauki, do jakiej doprowadzili doskonałości, i na jego wartość i przyszłość ich oczami patrzeć będziemy, to i zakończenie Legendy znajdzie się tu na miejscu:

— Bądź pochwaloną o wielka Ukko, żeś dozwoliła zdobyć zaszczyt północy: czystszy od śniegu, wdzięczniejszy od łabędzia i piękniejszy od wszystkich na świecie gwiazd.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Legenda Rzymska

Juliusza Lemaitre

przekład Maryi Obrębskiej.

(Dokończenie).

Żołnierze uprowadzili chrześcian i stłoczonych wepchnęli w ciemne lochy Mamertyńskiego więzienia.

Dziwną, nieokreśloną radość uczuwała Mirra na myśl, że została uwięzioną z rozkazu Nerona, po raz to pierwszy bowiem wola wszechpotężnego władzcy bezpośrednio dotykała jej skromnej doli. Z dniem każdym coraz piękniejsza jawiła się w wyobraźni jej twarz Nerona, twarz groźna a smutku pełna, którą miała nadzieję ujrzeć wkrótce, gdy przed sąd ją zawezwą.

Niejednokrotnie w więzieniu, ojciec Tymoteusz przerywając modły wybuchał złorzeczeniem przeciw Neronowi, zbrodnie jego wyliczał, »Zwierzęciem« nazywał.

I jakkolwiek Mirra przekonaną była o prawdzie słów jego, niemniej wzmagały w niej one ból okrutny.

Razu pewnego, jeden z więźniów opowiadał, że jeśli Neron oskarżył chrześcian o podpalenie miasta, uczynić to musiał najpewniej z namowy cesarzowej Poppei, która, odkąd stała się wyznawczynią religii żydowskiej znienawidziła uczniów Chrystusa. Opowiadał nadto o szalonej miłości jego dla tej kobiety, że dla niej to, zabił on pierwszą swoją żonę, we wszystkiem woli jej ulegał, a przed niedawnym czasem ofiarował trzysta oślic, ażeby w mleku ich codziennie kąpać się mogła.

Więc chociaż interwencya Poppei w pewnej mierze zmniejszała winę Nerona, Mirra przecież w dniu tym sroższe przenosiła męczarnie.

— Oh, ta żydówka! Szemrała z cicha.

* * *

Ku wielkiemu rozczarowaniu Mirry, więźniów stawiono przed prokonsulem, który nie wchodząc w szczegółowe badania, zapytał tylko, czy istotnie są oni chrześcianami, a następnie skazał na pożarcie lwom w wielkim cyrku.

— Czy Cezar będzie przy tem obecny? — zapytała Mirra, jednego z odźwiernych.

— Cezar nie opuszcza żadnej z podobnych uroczystości, brzmiała odpowiedź.

Wielką radością zajaśniała twarz Mirry, owa twarz blada i przezrocza, w której widniały już tylko duże, płomienne oczy, przysłonione zciemniałą powieką i drobne usta wciąż nawpół rozwarte lekkim tchnieniem anielskich pożądań... Nie rozumiała już własnych myśli. Zaprawdę, słodko jest ponieść śmierć za tak wielkiego przestępcę i przez nią ofiara jej doskonalszą zostanie. Lecz ginąć przez niego...

nie byłoż okrucieństwem? Nie, bo wszak ten nadmiar bólu ofierze jej zasług przysporzy, skuteczniejszą uczyni... Zresztą, nie wiedziała już zgoła o niczem. Chwilami zdejmowało ją przerażenie wielkie, pojąć nie mogła dlaczego Neron w duszy jej nie budzi obrzydzenia. Nie widząc nic, o niczem nie słysząc, żyła jakby w gorączce i wśród gorączkowych widziadeł.

Sędziwy Kalikst przypatrywał się jej z niepokojem. Oddawna już nie mówiła z nim o Imperatorze, rozumiał przecież, iż dla niego były wszystkie jej myśli. I zapytywał sam siebie, czy w takowem oddaniu się całkowitem upatrywać nie należy najwyższego wykwitu miłosierdzia. Nie śmiał ją zapytywać o nic, by przez samo dotknięcie nie zmącić tej duszy czystej.

W przeddzień kaźni, po modlitwie wieczornej, którą więźniowie odmawiali wspólnie, Mirra przemówiła głośno.

— Módlmy się za Imperatora Nerona.

Chrześcianie zawahali się. Kalikst rzekł w duchu.

— Napróżnom niepokoił się o Mirrę, świętobliwszą jest ona od nas wszystkich.

I począł odmawiać modlitwę za Imperatora, którą powtarzali za nim wszyscy.

A usłyszawszy to jeden ze straży u drzwi stojący, płakał i prosił Mirrę, by wyjaśniła mu tajemnice wiary Chrystusa.

* * *

Nazajutrz przeprowadzono chrześcian do podziemnego więzienia, umieszczonego pod amfiteatrem wielkiego cyrku.

Przez kratę żelazną Mirra ujrzała arenę, powodzią świateł zalaną, a na stopniach jej wznoszących się jedne nad drugiemi i obiegających ją dokoła lud, senatorów, rycerzy, żołnierzy, plebejuszów, westalek, kurtyzanek, w togach, w płowych tunikach, lnianych zasłonach, lud gwarny, hałaśliwy, na który zawieszona u stropu i sznurami podtrzymywana opona, ciskała snopy mieniących się, czerwonawych świateł.

Wprost naprzeciw siebie, Mirra ujrzała jeszcze skraj kobierca ciężkiego, okrywającego estradę cezara, a dalej nieco, na stronie, za inną kratą żelazną snujące się niespokojnie w półmroku — lwy.

Inni skazańcy, skupieni w pojedyńcze gromadki, albo modlili się, przypadłszy do ziemi, albo w tej godzinie ostatniej ściskali się i żegnali. Jakkolwiek silni duchem, w tem jednak zetknięciu ze śmiercią, wielu z nich doznawało dreszczów grozy i płakało rzewnie. Kalikst i Tymoteusz sposobili ich na śmierć, dodawali im otuchy. Tymoteusz mówił: Zaprawdę, radość to nie mała, módz pieczęcią własnej krwi stwierdzić wiarę swoją, wzgardziwszy bezsilną złością bezbożnika. Krew wasza przeciwko niemu powstanie. Raz jeszcze powiadam wam: czas już blizki... Czemże jest chwila cierpienia w obec szczęśliwości wiekuistej! Głupi tylko lub tchórz zysku takowego ocenić nie zdoła.

A Kalikst powiadał:

— O, bracia moi! Niech Bóg was wspiera! Śmierć, co was oczekuje, czemże jest pomimo wszystko, jeśli nie śmiercią łowca zaskoczonego w kniei? Pójdziemy wszyscy razem, tak silnie zespoleni ideą jednoczącej nas miłości, że kły zwierząt dzikich i szpony ich niczem się nam wydadzą.

A z naszej krwi, za sprawą Bożą wielkie pozostanie dzieło! Śmierć wasza stanie się podwaliną spokoju i szczęścia przyszłej ludzkości.

Ale dla stojącej na uboczu przed żelazną kratą Mirry obcem było to, co się dokoła niej działo.

* * *

Roztworzono jednocześnie podwoje więzienia i drzwi klatek; w tejże chwili zapanowała cisza wielka.

Mirra pierwsza wstąpiła na arenę, a spostrzegłszy na estradzie Imperatora, wyprostowana, krokiem równym, lekkim, szła wprost ku niemu, myśląc:

— On musi mię ujrzeć. Tuż przy nim uleci dusza moja, dla duszy jego zbawienia.

Kalikst podążał za nią tak prędko, o ile tylko osłabienie sędziwych lat jego dozwalało mu na to.

Lwy z klatek wyszły; zrazu jedne z nich oślepione światłem stanęły w miejscu, inne znów w oszołomieniu, z opuszczonemi ku ziemi głowami, szerokie wśród areny zataczały koła.

Mirra szła wciąż naprzód z okiem utkwionem w cezara. On, pochylony nieco ku jednemu z towarzyszy swoich uczuł wzrok ten i odwrócił głowę. Mniemał, że młoda dziewczyna o łaskę prosić go zamierza i zły uśmiech twarz mu rozświecił.

Lecz ona, nie mówiąc słowa, ani podnosząc ramion splecionych jakby w modlitwie, zbliżyła się aż do stopni estrady i tam nieświadoma i niema, wpatrywała się w twarz Imperatora.

Rozpuszczone włosy spływały na jej plecy a przez podziurawioną suknię świeciło białe, delikatne ramię...

Cezar pochylił głowę, głowę rozbestwionego bóstwa. Krótkotrwałe ogniki zamigotały w zmąconych jego źrenicach, podniósł się i przywoławszy dowódzcę straży skinął dłonią na znak łaski.

Wtedy sędziwy Kalikst zrozumiawszy znaczenie owego znaku, porwał Mirrę w wychudłe ramiona i wytężając wszystkie siły, pchnął ją wprost ku rozwartej paszczy lwa rozjuszonego.

W carskiej służbie.

I.

Płynie ciepły wiatr. Lato. Rozchylone kwiaty słońcem, piją rosę, a wietrzyk, jakby był ich matką, głaska je po główkach. Głaszcze liliowe dzwonki i złote kłosy zboża. Uginają się pod tą pieszczotą, chwieją i grają pieśń polskich pól...

Walek Kośba macha kosą, aż powietrze warczy; pot zlewa mu twarz, nie zważa na to. Rozchylone uciechą usta śpiewają a echo gra wtórem:

›Hej zachodź słonko zachódź
›Za modry obłoczek,
›Bo już mię od pszeniczki
›Mocno boli boczek!‹

Pszeniczka kładzie się pokosem i złoci w blaskach słońca... Walek cieszy się, bo ono Pan Bóg dał mu taki urodzaj, jak nie pamięta kiedy... Sprzeda pszenicę, kupi Marysi nową chustkę i jałówkę a dzieciom ›robakom‹ buty i nowe ubranie, bo już stare ledwie się trzyma...

To dopiero będzie uciechy!... Na samo o tem wspomnienie, aż rumieńce biją na poczciwą twarz Walka.

* * *

Wojna! wojna! Car rezerwistów do wojska wołać każe. Pognają ich na daleki Wschód, do Azyi, aby bili Japończyków, którzy stanęli kością Moskalom w ich nienapchanem, szerokiem gardle. Walka też wezwano.

W domu płacz. Marysia lamentuje, dzieci krzyczą i wieszają się na szyi ojca, bo go może już nie obaczą... ›Japany nie żartem ›pierą‹...

Dusza Walka buntuje się; poco on tam pójdzie? Co mu winny »Japany«? Czy kogo zaczepiali? A tu pszenica!... Marysię pewnie oszukują żydy. Ale pójść, pójdzie!... kazali...

Żal mu ino okrutnie tych »robaków«, aż łzy mu stają, że musi dzieci — może na zawsze — pożegnać.

»Nie płaczcie! przecie nie wszystkich zabiją na wojnie!«

»Oj tatulu!...« Płaczą. Marysia z dziećmi...

»A nie daj się Maryś ocyganić żydom! Chciej 200 rubli, za mniej im nie daj! Pszenica jak złoto. Pilnuj »Łyski«, a na pszeniczysku niech ci Jasiek posadzi buraki...

»Co mi tam buraki, kiej ciebie nie będzie... Boraku...«

»E! nie płacz! a zaszyj mi trochę naszej polskiej ziemi, zawieszę na szyi. Gdybym zginął, to mi tam nasi choć na oczy jej nasypią... Idzie też Antek, Józef i Jasiek Wrotka«.

»Nieboraku!... co ja tu sama pocznę?...«

»Pamiętaj o »robakach« a módl się za mną! Proś pisarza, niech ci listy do mnie pisze i moje czyta.

Ostań z Bogiem!«

Poszedł...

II.

Ziemia aż się trzęsie, tak huczą armaty. Kule, jak grad gwiżdżą koło uszów, rąk, nóg, głowy...

Dym! ciemno; nic nie widać... Słychać tylko krzyki, nawoływania, lecz te trudno zrozumieć w tym wrzasku i hałasie. Czasem ktoś jęknie, to ranny...

Walek kroczy naprzód z Antkiem i Jaśkiem Wrotką. Zachwiał się Antek...

»Nic to!« rzekł. — »Trzymajmy się Walek!«

Nowy gwizd i szum; chmura kul jak szarańcza opada wszystkich. Przerzedzają się szeregi rosyjskie. Antek padł i został...

Walek i Józef Wrotka idą jednak naprzód. Z początku trzęsły im się ręce; strach przed śmiercią ich ogarniał... Teraz zawrzała w nich krew, ścisnęli silniej karabiny — idą na bagnety!...

»Haraszo! rebiata! Naprzód! — krzyczy oficer. — Wtem nawprost siebie widzą ludzi małych o skośnych oczach i żółtej skórze. Świecą bagnetami tuż... tuż...

»Dyabły? czy ludzie? — przeleciało przez mózg Walkowi. Lecz nienamyśla się długo, pchnął bagnetem aż coś trzasło, machnął w lewo i prawo karabinem, małe postacie żółte znikły, zrobiło się przestrzeniej.

Obejrzał się za »swymi« — nikogo! Tam wdali tylko, widzi całe ściany pleców, podeszwy, pięty, i wywijanie szybkie nogami rosyjskich żołnierzy... Uciekają... jak zające przed »Japanami!«... Został sam! Naokół leżały »Japańcy« i Rosyanie pokrwawieni, zabici, jedni bez rąk, nóg, lub z podziurawionym od bagnetów brzuchem. Wszędzie pełno krwi, aż chlupie... Między nimi i jego towarzysze, przyjaciele: Antek i Józef...

Walek padł, bo teraz czuł dopiero, że go któryś z »Japanów« »macnął« bagnetem; ból mu to sprawia ogromny.

Głód zaczyna mu dokuczać. Nic nie jadł od sześciu godzin, bo ich pędem gnali i gnali naprzód a teraz to uciekają... Żeby to choć kawałek chleba!

A i nogi mu popuchły. Niby to mieli mu dać na wojnę przy wojsku buty, a tymczasem przyjechał, maszerował i przed chwilą bił się w »swoich butach«, w tych, które przyniósł z domu!

Nie dziwota, że się zdarły a podeszwy odlazły, aż je musiał sznurkiem do kupy związać...

Oj! nie tak było w domu! Marysia...

Na wspomnienie żony łzy stanęły mu w oczach. Co ona też tam robi nieboga? Czy sprzedała pszenicę? Co robią »robaki?«

Ten Józuś, jak on to za nim dreptał w pole, w to pole pszeniczne, przetykane gwiazdkami modrych bławatków i czerwonych maków...

A jak zawsze ciekawie pytał o ptaszki, co to śpiewają w tym lasku niedaleko domu...

Walkowi jakoś ciężko, smutno... Tak ciemno!... Wszyscy »jego« już pewnie śpią... a on tu leży sam, wśród błota, w kałuży krwi, między trupami... Brr!... zimno!

Czerwone ptaki latają mu przed oczyma... Pewnie śmierć! A on chce żyć, widzieć jeszcze żonę, dzieci... Za co umierać? Za cudze łakomstwo?... Żeby to choć za »naszych«, Polaków — ale nie w służbie — carskiej!... Coraz ciemniej!...

III.

Noc. Tam na wzgórzu czernieją laski i szumią lekko liśćmi. U ich stóp szemrze lub przewala swe fale z hukiem Jalu... Czerwone światła migają. Coraz bliżej zbliżają się ku pobojowisku. To Japończycy szukają rannych; przeglądają, czy któremu jeszcze nie przyda się pomoc lekarza.

Przyśli do Walka.

Ktoś z pomiędzy nich rzekł po polsku wskazując na trupy rosyjskie:

»Oto wolni! dzieci ucisku prześladowań siepaczy carskich, wolni od cierpień«...

Ciało Walka poruszyło się na ten głos.

»Kto? to? — szepnął.

Ten który po polsku mówił, nachylił się nad nim, słuchał...

»Żyje« — rzekł po japońsku.

Walek otworzył oczy, popatrzył...

»Panie!« szeptał, »mam garść polskiej ziemi na piersiach we woreczku. Niedługo skończę, dajcie mi ją na oczy. Lżej mi będzie z nią spać... w cudzej ziemi«...

»Skąd ty bracie?«

»Z pod Dubna... z Wołynia!... Zostawiłem żonę i dzieci. Za ucisk i drapieżność rosyjską muszę jeszcze i kości swe złożyć tu... w służbie... carskiej«.

»Może nie umrzesz — zobaczę — jam lekarz!«

Zaczął szukać rany, lecz jeszcze jej nie znalazł, gdy Walek drgnął, coś szepnął i — skonał!

Lekarz wypełniając jego prośbę, nasypał mu na oczy ojczystej, polskiej ziemi...

»Wolnyś«, szepnął, »bracie! ale ile jeszcze twych braci w kajdanach!... którzy tu głowy położą...«

* * *

Marysia i »robaki« długo jeszcze czekały na powrót ojca...

Wł. Górnikiewicz.

Odsłonięcie pomnika Kościuszki w Chicago.

Uroczystość odsłonięcia pomnika Kościuszki w parku Humboldta w Chicago była stanowczo najwspanialszą manifestacyą polskości, na jaką zdobył się dotychczas naród polski w Ameryce. Niezaprzeczenie wspaniałym był »Dzień Polski« na wystawie wszechświatowej w 1893 r. — lecz dzień 11 września roku bieżącego, w którym to dniu po-

mnik bohatera dwóch światów uroczyście odsłonięto i oddano miastu Chicago, większe jeszcze wywarł wrażenie na świadkach uroczystości i większą posiada doniosłość dla narodowości naszej w Ameryce, niż słynny wystawowy »Dzień Polski«.

Pomnik Kościuszki, odlany z bronzu, piękny i imponujący rozmiarami, wznosi się w północnej części parku przy North avenue, nawprost wspaniałego bulwaru Humboldta, a blok jeden od California avenue. Dokoła pomnika jest placyk wolny od drzew, szeroki na kilkadziesiąt sążni. Tuż pod pomnikiem biegnie biała żwirowa droga przeznaczona do jazdy kołowej w obrębie parku. W dniu uroczystości od samego rana ludność polska i innonarodowa zaczęła gromadkami schodzić do parku, aby obejrzeć pomnik i przygotowania poczynione do uroczystości jego odsłonięcia. Pogoda od samego rana była niepewna, pomimo to jednak ludzi napływało coraz więcej.

Obok pomnika wznosiła się wysoka estrada, mogąca pomieścić z półtora tysiąca osób. Za estradą wybudowano nizką lecz rozległą platformę dla chórów śpiewackich. Z drugiej strony pomnika była estrada dla orkiestr. Bronzowa postać jeźdźca na kamiennym postumencie była częściowo zasłonięta kawałem płótna w kolorach narodowych polskich i amerykańskich. Sznury umocowane do rogów tkaniny pozwalały z estrady jednem pociągnięciem odsłonić posąg z największą łatwością. Na estradach nie było jeszcze nikogo, lecz około godziny jedenastej tłum ludu w parku był już nader gęsty i zalegał wszystkie sąsiadujące z pomnikiem trawniki.

Tymczasem w dzielnicy polskiej, w parafiach św. Stanisława, św. Trójcy i na Jadwigowie, panował niezwykły ruch i ożywienie. Wszystkie domy należące do Polaków przystrojone były we flagi i festony z kolorowego płótna i z liści. W wielu oknach powystawiano portrety bohatera. Po ulicach uwijali się ludzie z odznakami pamiątkowemi u klap surdutów. Na rogach ulic, w punktach zbornych, zaczęły się gromadzić towarzystwa.

W parę godzin później wszelki ruch kołowy na głównych ulicach polskich zupełnie ustał. Członkowie towarzystw, szykując się w szeregi do wymarszu zajmowali środek drogi, a po bokach stały nieprzeliczone rzesze ludu, przypatrując się ciekawie mundurom towarzystw wojskowych i dzielnym rumakom marszałków. Wreszcie pochód ruszył z miejsca. Ze wszystkich bocznych ulic procesye maszerujących, we wzorowym porządku, z orkiestrami na czele, zaczęły ściągać w ulicę Division, zmierzając na zachód, w stronę parku. Lecz upłynęło sporo czasu zanim wszystkie towarzystwa zajęły w pochodzie wyznaczone dla nich miejsce. Przednie szeregi maszerujących były już niedaleko parku, kiedy tylne dopiero zaczęły się formować.

Około godziny drugiej z wysokości stacyi kolei górnej przy ulicy Paulina i Division podziwiać było można wspaniały widok. Cała ulica jak okiem sięgnąć w jedną i w drugą stronę zapełniona była szeregami ludzi kroczących poważnie naprzód, a na trotuarach po obu stronach stały tłumy nieprzeliczone, przyglądały się pochodowi i słuchały dźwięków muzyki. Nad głowami ludzkiego mrowia powiewały chorągwie towarzystw, płynąc razem z pochodem w stronę parku. Trzysta towarzystw cywilnych i wojskowych z Chicago i z okolicy wzięło udział w wymarszu. Cały pochód był podzielony na 12 dywizyi. Na czele każdej dywizyi jechał konno jej marszałek. Choć maszerowano w zwartych szeregach przez całą szerokość ulicy, to jednak pochód był długi przeszło na trzy mile, z czego wnosić można, że w wymarszu brało udział conajmniej 15,000 osób, nie licząc tych, co jechali w powozach, których musiało być do tysiąca.

U stóp pomnika tłum był już tak gęsty, że setki policyantów musiały napocić się dobrze, aby nie pozwolić ludziom zająć dróg, któremi miał kroczyć pochód. O godzinie 2 estrada zapełniła się publicznością wpuszczaną za biletami, osobami zaproszonemi i przedstawicielami prasy. Drużyna śpiewacka licząca 600 osób zajęła swoje miejsca na platformie. Pogoda stawała się coraz mniej pewna. Zwlekać dłużej było niebezpiecznie, komitet budowy dał więc znak do rozpoczęścia właściwej uroczystości.

Czoło pochodu sięgnęło tymczasem parku. Na czele kroczyli sokoli i sokółki, a potem towarzystwa wojskowe w galowych uniformach. Sokoli wraz z Gwardyą Kościuszki z Milwaukee, ubraną w bronzowe płócienne mundury i kapelusze milicyi, ustawili się dookoła pomnika, aby pełnić obowiązki straży honorowej aż do końca uroczystości. Wszystkie następne towarzystwa pochylając swe sztandary, przy dźwiękach orkiestr obchodziły dookoła pomnik, a potem szły dalej i rozpraszały się po parku. Upłynęły całe dwie godziny zanim wszystkie towarzystwa w sposób wyżej opisany oddały hołd Kościuszce.

Jednocześnie na estradach i platformach odbywała się właściwa uroczystość. Najpierw orkiestra odegrała hymn »Z dymem pożarów«, poczem sędzia La Buy powiedział mowę po angielsku. Po nim również po angielsku przemówił rzecznik miejski p. Jan Smulski. Następnie połączone towarzystwa śpiewackie z stowarzyszeniem orkiestr pod dyrekcyą p. Emila Wiedemana odśpiewały pieśń: »Patrz Kościuszko na nas z nieba«. Z chwilą ukończenia tego śpiewu cztery dziewczynki pociągnęły za sznury: płótno zsunęło się z pomnika i bronzowa postać bohatera dwóch światów ukazała się oczom obecnych, wywołując burzę oklasków.

Po wojskowych towarzystwa cywilne z orkiestrami na czele wciąż maszerowały jedne po drugich dookoła pomnika, tak, iż dźwięki muzyki głuszyły nieraz słowa mówców. Około godziny trzeciej deszcz zaczął kropić coraz gęściej. Kto mógł, ten rozpiął parasol, ale entuzyazm i nastrój podniosły w sercach nie osłabły bynajmniej. Niewielu było takich, co chroniąc się przed deszczem nie doczekało końca uroczystości.

Zaraz po odsłonięciu pomnika, które nastąpiło o godz. 3 minut 15, p. J. Smulski odczytał długi telegram nadesłany przez prezydenta Roosevelta, winszujący Polakom dokonania tak ważnego dzieła jak postawienie pomnika. Po p. Smulskim prezes komitetu budowy pomnika p. Szopiński odczytał cały szereg telegramów od wybitnych Polaków, od towarzystw i instytucyi polskich w starym kraju.

Deszcz już padał na dobre, lecz towarzystwa maszerowały w dalszym ciągu, a publiczność nie myślała się rozchodzić. Przemawiał więc dalej pan Adam Szwajkart w imieniu komisyi parkowej, której ofiarowano pomnik, a potem prezes Związku N. P., p. Stęczyński, odczytał z wielkim entuzyazmem długą mowę polską, zastosowaną do okoliczności. Ostatni przemówił po angielsku senator związkowy Hopkins.

U stóp pomnika złożono znaczną ilość wieńców i na zakończenie około godz. 5-tej wszyscy zebrani odśpiewali »Boże coś Polskę« przy akompaniamencie kropli deszczu, bijących w rozpięte parasole.

Wieczorem w głównej sali hotelu »Great Northern« odbył się bankiet ku uczczeniu odsłonięcia pomnika

na sposób amerykański. Wstęp kosztował 5 dolarów. Wszyscy obecni z wyjątkiem duchownych byli we frakach. Mistrzem toastów był p. Smulski, a główną mowę powiedział arcybiskup Quigley na temat: »Polska«. Z mowy czcigodnego dygnitarza Kościoła biła wielka, prawdziwie chrześciańska miłość ku całej ludzkości, wśród której Polska historyczna i naród polski obecnie zajmowały i zajmują tak wybitne stanowisko. Dokładna znajomość dziejów Polski i jej stanu obecnego dzielnie sekundowała wielkiemu talentowi szan. mówcy. Arcybiskup bez żadnego wahania, bez żadnych zastrzeżeń przyznał narodowi polskiemu prawo do niepodległości politycznej, opierając to prawo na prawie boskiem, oraz na zasługach Polski wobec ludzkości i na sumiennej pracy narodu polskiego na polach nauki, sztuki, literatury, przemysłu. Arcybiskup wyraził się o Polakach, że jest to naród miłujący ojczyznę i szanujący prawo. Geograficznie dziś Polska nie istnieje — historycznie nikt na świecie nie ma większego prawa do istnienia jak Polska.

Król Jan III Sobieski.

A za tego króla Jana,
Co to po łbach bił pogana,
Przyszły posły i rozjemce:
»— Ratuj królu! Giną Niemce!

Turek na nas następuje,
Szyjom naszym miecz gotuje,
Naszym wieżom — księżyc w nowiu,
Naszym dziatkom — chrzest z ołowiu.

Jak zdobędą Wiedeń stary,
Krwawo poczną uczyć wiary
I postawią ciężkie stopy
W samem sercu Europy.

My — siłami niemieckiemi
Nie obronim naszej ziemi,
Zginiem — knechty i rycerze...
— Ratuj — królu — bohaterze!«

Król się porwał rozgniewany:
— »Wara, krzyknął, bisurmany,
Na to słońce, co nam świeci,
Trząść z buńczuków waszych śmieci!

— Miecz mi dajcie!... Hej trębacze,
Niech otrąbion kraj zobaczę!
Niech się Polska moja ruszy,
Mocnej dłoni, wielkiej duszy!

— Niech husarya skrzydła bierze,
Niech stalowe lśnią pancerze,
Niechaj szable błysną w ręku,
Luzak z koniem, koń w obłęku.

— Za trzy doby hufce ruszą,
I nie spocznę, klnę się duszą,
Aż oczyszczę dom sąsiada
Od szarańcy, co nań spada!«

Posłyszała Polska króla,
Koń u żłobu uszy stula,
Rycerz ostrzy miecz stalowy.
— Kraju miły!, bądź mi zdrowy!

Trąbią trąby w strony świata,
Głos po polu z wiatrem lata,
Szumi Wisła niespokojna,
Bory szumią: Wojna! Wojna!...

. . . .

Za trzy zorze i trzy noce,
Polska wiara Turka grzmoce,
Aż się szczerbi kosa śmierci,
Na buńczukach z końskiej sierci...

Grzmią harmaty, świszczą kule,
Z dziwem stoją obce króle,
Wyciągnęli długie szyje,
Patrzą — jak to Polak bije!

Biały koń się prze pod Janem
Po tem polu krwią zalanem,
Strzał tureckich błyski chwyta
Na wzniesione w skrach kopyta.

Łysa-Góra we mgłach stoi,
Noc z niej schodzi w czarnej zbroi,
Kładzie rękę na powieki,
Nie do świtu, lecz na wieki.

Król rumaka piętą bodzie...
Turek włosy targa w brodzie.
— »Hej! na obóz! Naprzód wiara!«
Poszła koniom z nozdrzy para.

Jak wiatr lecą, jak grom walą,
Dziw, że świata nie obalą,
Dziw, że się utrzymać mogą,
Koń kopytem, mąż ostrogą.

— »Naprzód!«... Wzięli namiot wroga.
Co miecz puścił — bije trwoga...
A po świecie okrzyk leci:
— Niechaj żyje król Jan Trzeci!

Marya Konopnicka.

Wróżka.

(Dokończenie).

»Już słońce było wysoko, gdym zmysły odzyskał. Aż po las lgnąłem w błocie. Pierwsza moja myśl była: dwudziesty dzień Sierpnia! Włosy mi się od strachu jeżyły, gdym sobie wspomniał noc upłynioną. Oglądałem moje rany, na ramionach, piersiach i na karku zadane; żadna nie była niebezpieczna. Futro grube, które dla chłodnych w tym kraju nocy na sobie miałem, ochroniło mię od ran głębokich. Czułem się jednakże bardzo słabym. Oglądałem się na wszystkie strony. Myślałem, że już Turcy dawno z pobojowiska się oddalili, gdyż tylko stękanie koni ranionych dochodziło do uszu moich; albowiem co się tyczy ludzi, tych Turcy na wieki uśpili.

Zebrawszy wszystkie siły, wybrnąłem szczęśliwie z bagniska.

Lubo wojna z Turkami przytłumia wszelkie uczucie, jednakże dreszcz mnie przechodził ze strachu, osobliwie kiedym rzucił okiem za sitowie. Idę dalej, spoglądam na miejsce rzezi, lecz jakże opiszę przelęknienie, kiedym uczuł, że mię jakaś silna pochwyciła ręka! Oglądam się, spostrzegam Arnauta, draba jak olbrzym. Bez wątpienia powrócił on, żeby zabrać, co pozostało jeszcze na bojowisku. Nigdym się okropniej w mojej nadziei nie zawiódł! Przemawiam

do niego po turecku; bierz, rzekłem, mój zegarek, moje pieniądze, mój mundur; tylko nie zabijaj mię. Wszystko to moje, odpowiedział, a nadto jeszcze i głowa. To mówiąc, odwiązał mi rzemyk od kołpaka pod brodą, potem halsztuch. Bezbronny, nie mogłem ani pomyśleć o obronie; bo za najmniejszem poruszeniem byłby utopił w mem sercu swój kordelas szeroki. Gdy mi więc obnażał szyję, porwawszy go w pół, zlituj się nademną, mówiłem błagając, weźmij mię w niewolę; familia moja bogata; dostaniesz znaczny okup. »Toby było za długo«, odpowiedział, »bądź tylko spokojny, żebym ci naraz głowę mógł uciąć«. Trzymałem go, mocno objąwszy. On się bynajmniej nie bronił; bo bez wątpienia, ufał w swej sile i broni; może też czuł litość, która jednakże nie mogła pokonać chciwości. Już mi odpinał spinkę od koszuli, kiedy macając poczułem coś twardego w jego pasie. Był to młot żelazny. »Bądź tylko spokojny«, powtarzał mi; i zapewne byłyby to ostatnie słowa, którem w mem życiu słyszał, gdyby wstręt od tak haniebnej śmierci nie natchnął mi myśli wyrwania mu młota. Nie zważał on na to, a trzymając mię jedną ręką za głowę, drugą wydobywał swój kordelas. Silnym zamachem wyrwawszy się z rąk wroga, i nie tracąc momentu, uderzyłem go ciężkim młotem w twarz, ze wszystkich sił. Ugodziłem dobrze, potoczył się Arnaut, a za powtórzonem ciosem padł, i opuścił swój kordelas, który porwawszy, utopiłem mu w piersi. Biegłem potem do naszych forpocztów, których broń błyszczała od słońca. W obozie każdy uciekał odemnie jak od upiora. Tegoż samego dnia napadła mnie gorączka; zaniesiony zostałem do lazaretu. Wyzdrowiawszy po sześciu tygodniach, powróciłem do obozu. Zaraz za mojem przybyciem przyniosła cyganka przegrany Tokaj. Od towarzyszów dowiedziałem się, że kilka jej przepowiedzeń zupełnie się ziściło. Po niejakim czasie przeszło z wojska tureckiego do nas dwu chrześcian Serbskich, którzy służąc u Turków w obozie, dla uniknienia kary zasłużonej, zbiegli. Ci, skoro tylko zoczyli naszą wróżkę, oświadczyli, że ona często do obozu tureckiego przychodziła, donosząc o naszych poruszeniach. Mocno to nas zastanowiło, i niechcieliśmy z razu temu wierzyć; bo ta kobieta często nam samym się przysłużyła, i z dziwną zręcznością nie jedno zlecenie nasze bardzo niebezpieczne wykonała. Lecz zbiegi obstawali przy swojem zeznaniu, dodając, że kilka razy sami byli przytomni, jak ta kobieta opisywała Turkom nasze stanowiska, jak im donosiła o naszych układach, i zachęcała do zrobienia napadów, które się też istotnie udały. Bilet z cyfrą turecką, według ich świadectwa, służył jej za paszport. Przetrząśniono ją i znaleziono ów bilet. Skazana więc była na śmierć, prawem wojennym na śpiegów postanowioną. W krótce przed straceniem, pytałem się jej, jakich używała sposobów dla sprawdzenia swoich wróżb, tak względem mnie, jak innych. Wyznała, że przez szpiegowanie mogła korzyść podwójną ciągnąć, dowiedziała się często o przedsięwzięciach jednej i drugiej strony, a łatwowierni, słysząc jej wyrocznie, często się wygadali. Czasem także ślepy przypadek usłużył jej sztuce. Ze mnie zaś umyśliła wystawić przykład dla utwierdzenia prorockiej swej powagi; dla tego też długo przed czasem los mój zwiastowała. Za nadejściem zaś terminu, namówiła nieprzyjaciela do zrobienia wycieczki na placówkę naszego regimentu, w nocy 20-go Sierpnia. Od oficerów, z którymi miała koszachty, dowiedziała się o dwóch moich poprzednikach, mających z kolei dowodzić placówką. Z tych jednemu przedała wino sfałszowane, od którego zachorował; do drugiego zaś, kiedy odjeżdżał, przybliżywszy się i udając, jakoby mu chciała co sprzedać, znalazła sposobność do włożenia żagwi zapalonej w nozdrze koniowi. Tym podstępem spodziewała się, że dowodząc placówką, ulegnę losowi przez nią przepowiedzianemu.

Przez całe życie dziećmi.

Niedawno umarła w Stockerau, w południowej Austryi, młoda kobieta 28-letnia, która całe swe życie przepędziła w kołysce dziecięcej. Nazywała się Marya Schumann i urodzona była w Brigitenau pod Wiedniem. Aż do ostatnich chwil życia miała pozory dziecka, ale umysł rozwinięty dorosłej osoby. Dla doktorów i uczonych była niezrozumiałem zjawiskiem. Matka jej przypisywała wstrzymanie jej wzrostu przestrachowi, któremu uległa, będąc dzieckiem kilkomiesięcznem. W czasie powodzi ujrzała dom, w którym mieszkała, niesiony na wodach Dunaju. Od tej chwili dziecko przestało rosnąć i przepędziło resztę życia w kolebce. Dziwne sprawiało wrażenie, bo się słyszało małe dziecko rozmawiające jak dorosła kobieta.

Innym okazem podobnego zboczenia natury była Sara Angnieszka Sipton, która w dwudziestym siódmym roku życia umarła w domu roboczym w Milnthope w Westmoreland w Anglii. Wyglądała do końca życia jak dwu lub trzechletnie dziecko i nigdy nie dosięgła rozwoju umysłowego Maryi Schumann, o której mówiliśmy powyżej. Za to ogromnie była schludna i skromna, i tak dobra, że wszystkie kobiety w przytułku za nią przepadały.

Pewnego razu zgłosiła się do policyi londyńskiej kobieta, prosząc o pomoc z kasy ubogich. Przyniosła z sobą dziewczynkę dwu lub trzechletnią na pozór, z niezwykle dużą głową. Okazało się, że była to istota dziewiętnastoletnia, ale potrzebowała pielęgnacyi jak niemówlę i również mało pod względem umysłowym była rozwinięta. Rozmawiać i rozumieć co do niej mówiono nie mogła i paplała jak małe dziecko.

Chłopiec 6 letni, niedawno przedstawiony w pewnym procesie w Minneapolis w Stanach Zjednoczonych, ma zawsze wagę i wzrost dziecka kilkumiesięcznego. Matka jego Bertha Anderson, przyniosła go przed trybunał na rękach. Doktorzy obecni zajęli się dziwnem zjawiskiem. Po zbadaniu przekonali się, że niedostatek wzrostu pochodzi z zupełnego braku gruczołu tarczowego. Gruczoł ten u ludzi normalnych znajduje się w szyi, tuż pod grdyką. Medycyna dotąd nie wykryła właściwego działania tego gruczołu, ale jest wiadomem, że zanik jego opóźnia wzrost ciała.

Ameryka posiada niezwykły okaz powstrzymania wzrostu w osobie Janiny Loder, w pewnem miasteczku w stanie Indiana. Mała ta kobieta ma 47 cali wysokości, choć doszła już sześćdziesiątego roku życia. Waży około sześćdziesięciu funtów i pod wszelkiemi innymi względami pozostała dzieckiem. Najwięcej lubi bawić się z dziećmi i lalkami i rozmawiać o tem, co będzie robić gdy dorośnie. Szczęście dla niej, że rodzice zostawili jej, umierając, znaczny majątek.

Jeszcze dziwniejszy okaz żył do niedawna w mieście Beaver, w stanie Pensylvania. Nazywał się Murphy i ważył mniej niż 30 funtów, gdy miał 55 lat. Umarł niezadługo potem, a przez całe życie nie mógł ani siedzieć, ani leżeć, ani klęczeć, ani

postąpić kroku, ani przybrać jakąkolwiek pozycyę właściwą ludzkiej istocie. Tak był bówiem bezkształtny, że nikt z lekarzy, którzy go badali, podobnego kalectwa nie widział. Ani jedna kość ani muszkuł w całem jego ciele nie był prawidłowy. Musiano zrobić zupełnie specyalne krzesło dla niego, aby mógł siedzieć. Wyglądał wstrętnie, jednakże zdawał się kontent z życia. Jedna tylko część jego istoty nie była skoszlawiona, a mianowicie mózg. Umysł miał zdrowy i czynny, a pamięć miał tak dokładną, że uważano ją za wyjątkową.

Rozmaitości.

Pius X i jego nowa brzytwa. Pewien duchowny z Rzymu, który przez dłuższy czas bawił w Ameryce, otrzymał niedawno w prezencie od znajomego fabrykanta brzytew w Nowym Jorku kilka brzytew całkiem nowej konstrukcyi. Duchowny ów zatrzymał jednę dla siebie, resztę zaś rozdarował między znajomych, między innymi ofiarował także jednę sekretarzowi domowemu Ojca św., ks. Bressanowi. Po pewnym czasie zaszła raz w towarzystwie papieża rozmowa na sprawę golenia, przyczem Ojciec św. wyraził się, że golenie sprawia mu bardzo wiele trudności i przykrości. Sekretarz ks. Bressan podniósł wówczas zalety swej brzytwy, opatrzonej w przyrząd, zabezpieczający golącego się przed wszelkiego rodzaju skaleczeniami. »Tak, to, tak! Moi kapłani otrzymują wszelkie piękne i praktyczne podarki, jak np. nowo wynalezione brzytwy — papież jednak musi się starą brzytwą kaleczyć«. Słowa te wywołały żywą wesołość w otoczeniu Ojca św. i zostały zakomunikowane owymu duchownemu. Ten wysłał niezwłocznie list do owego znajomego fabrykanta amerykańskiego, prosząc go jeszcze o jednę brzytwę dla papieża. Można sobie łatwo wyobrazić radość fabrykanta z tak zaszczytnego zamówienia, to też wnet nadeszła posyłka, którą doręczono Ojcu św. W wspaniałej kasetce leżało siedm pięknie wykończonych brzytew. Prócz tego mieściły się w kasetce wszystkie możliwe przyrządy do ostrzenia brzytew. Pius X użył natychmiast jednej z nich i był bardzo z niej zadowolony. Fabrykanta z Nowego Jorku nagrodził Ojciec św. uprzejmem podziękowaniem i złotym medalem ze swą podobizną.

Wesoły kącik.

Nowy owoc pracy.

— Czy posłałaś co na wystawę pracy kobiet.

— Nie, chciałam męża posłać, ale go nie przyjęli.

— Co ty mówisz? Nie rozumiem cię?

— A cóż to niezrozumiałego! Nie masz pojęcia, ile ja się musiałam napracować, nim mi się oświadczył i został mężem.

Przechodzeń do chłopca.

— Co robi przykładny chrześcianin, zanim się spać położy?

Chłopiec milczy.

— No, cóż robi twoja matka przed udaniem się na spoczynek?

— Kładzie zęby na stoliku — odpowiada chłopiec.



Zadanie na konkurs.

Kto bywa więcej rozgniewany: czy mąż, który wraca do domu i nie zastaje obiadu; czy żona, która ma obiad gotowy i nie może doczekać się męża?

Rozwiązanie szarady z nr. 36-go:

Wi - kary - usz.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp. Jan Kupiec z Łąki, Piotr Król z St. Zabrza i pani Jadwiga Badura z Rozdzienia.

Nagrodę otrzyma p. Piotr Król z Starego Zabrza.

Rozwiązanie szarady z nr. 37-go:

Potok.

Dobre rozwiązanie nadesłali: Walenty Marek z Lipin, Jan Kupiec z Łąki, Jadwiga Badura z Roździenia, Michał Walecki z Świętochłowic, Jan Kędzior z Grzawy, St. Marcinkowski z Gniezna, Kazimierz Kujawski z Sremu, Teofil Goraus z Lyonu, Jan Szulc z Poznania, Józef Knopp z Zabrza, Teresa Polok z Siemianowic, Ignacy Chłapek z Uchylska, Władysław Knapik z Janowa.

Nagrodę otrzyma p. Teresa Polok z Siemianowic.

ZAGADKA.

Woda mą matką, ale na kształt chmury
Wnoszę się szybko dolotnie do góry.
Skąd znowu wodą tu na ziemię spadam,
Wolno wciąż bujam i pracy nie zadam.
Lecz trzeba robić, już minął wiek złoty,
Ludzie zaprzęgli i mnie do roboty,
I każą liczne obrać maszyny,
Na drodze kładą dwie żelazne szyny
I każą ciągnąć wozy mi olbrzymie,
I kipię, szumię i świszczę i dymię,
Alem posłuszna jest woli człowieka
I czy to droga, czy morze, czy rzeka,
Ja [illegible]ciąż pracuję na lądzie i wodzie,
I[illegible]nę wozy, okręty i łodzie.
Znają mnie ludzie i z miasta, i z wioski,
A moje imię tylko cztery głoski.

Nakładem i czcionkami »Górnoślązaka«, spółki wydawniczej z ograniczoną odpowiedzialnością w Katowicach.
Redaktor odpowiedzialny: Paweł Szędzielorz w Bytomiu.